

kronika krajowa T. Palski Pomocni

PAŹDZIERNIK
W POZNANIU

Pod koniec października teatry poznańskie (Teatr Polski i Teatr Nowy, kierowane przez Jerzego Zegalskiego) otworzyły uroczyste nowy sezon. Będziemy mieli jeszcze niejednokrotnie okazję pisać o tych scenach. Wielkopolska organizuje w tym sezonie Rok Teatru, odbyć się ma sesja poświęcona teatrowi politycznemu, w której i redakcja *Teatru* będzie uczestniczyła; najważniejsze będą jednak oczywiście premiery. Chcielibyśmy, żeby wielkopolski Rok Teatru ożywił sceny poznańskie i pozwolił złapać teatrowi oddech, wyprowadzić

które dotknęły żywo jakiejś struny współczesnej wrażliwości. To, co zapowiadało się jako szkolne, zabrzmiało niebanalnie. I mądrze — jak powiedziano. Widownia to odczuła.

Wydaje się, że największą niespodzianką był *Don Karlos*. Spiśaliśmy sobie Fryderyka Schillera jakby na straty (sam to przy najmniej zrobiłem, przyznaję). Patetyczny historyzm, gest romantyczny, który w czasach antyromantycznej powściągliwości powinien budzić zawstydzenie, szlachetni bohaterowie uwikłani melodramatycznie w perypetie z nędnymi przeciwnikami i groźną, choć niepojętą historią, kilka cytatów (Daj wolność myślenia...), efektowne role dla ste-

czesnych. Zeskrobała z *Don Karlosa* stereotyp szyleryzmów; a i miała aktorów.

Danutę Balicką, która jako księżniczka Eboli była już nie dworską intrygantką, ale walcząca przy pomocy wszelkich środków o miłość i szczęście własne kobietą; pięknie i przejmująco wypowiedziała swój monolog kobiety wszystko gotowej oddać dla miłości. Krzysztofa Ziemińskiego, nareszcie ludzkiego, a nie tylko szlachetnego margrabiego Pożę. Aleksandra Iwańca—Don Karlosa. Dobre, „znaczące” przedstawienie, któremu łatwo wybaczyć karykaturalny dwór, z karykaturalnym księciem Albą na czele; i niezamierzenie groteskowe wejście Inkwizytora (zgrzeszyła tu reżyserka pospółu ze scenografem), który przypominał bardziej dziadka leśnego czy św. Mikołaja, niż postać i siłę najgroźniejszą Hiszpanii z czasów Filipa II. Tym łatwiej to wybaczyć, że jest w tym spektaklu jedna rola, którą się długo będzie pamiętała, świetny i dużo zapowiadający debiut Wandy Neumann w roli królowej Elżbiety Valois; tak ładnie i tak szlachetnie zrobioną rolę dawno już nikt z młodych nie wchodził do teatru. A jest i drugi powód, dla którego o grzechach nie chce się pamiętać: widownia słucha tego Schillera w skupieniu, ze zrozumieniem, odnajduje w nim żywy, obchodzący ją teatr. To trzeba cenić, bo zdarza się rzadko. Z Schillerem. W każdym razie — nie za pamięci mojego, trochę wykoślawionego w swoich upodobaniach pokolenia.

O *Przedwiośniu* przy innej okazji. W tej chwili trwa w Polsce festiwal *Przedwiośnia*, a festiwal *Teatr* rejestruje na ogół w innym miejscu, bliżej okładki.

Jerzy Koenig



„Don Karlos” Schillera. Teresa Waśkowska (Księżna Olivarez), Janina Ratajska (Margrabina Mondecar), Danuta Balicka (Księżniczka Eboli), Wanda Neumann (Elżbieta Valois)

go z zaścianka na forum ogólnopolskie, o co dyrekcja od roku zabiega — bez większych sukcesów w sezonie poprzednim. Czy są na to szanse dzisiaj?

Wzmocnił się zespół aktorski, do równowagi wraca gospodarka teatralna, teatr odzyskuje kontakt z widownią poznańską (nie jest to widownia łatwa, wiemy...), ma obiecujący zespół reżyserski, obiecujące zapowiedzi współpracy reżyserskiej, ma interesujące (choć bez sensacyjnych „szlagierów”) plany repertuarowe, wreszcie bardzo ładnie — a co najważniejsze: w sposób odpowiedzialny, uczciwy i mądry — stworzył nowy sezon *Przedwiośniem* według Żeromskiego, w adaptacji i reżyserii Jerzego Zegalskiego, i *Don Karlosem* Schillera w przekładzie Kazimierzy Ilakowiczówny, w opracowaniu i reżyserii Izabelli Cywińskiej-Adamskiej. Była to pewna niespodzianka: wspólne zrywanie się obu premier, w tym, co miały dziś, na jesieni 1968 roku, znaczyć — i zaskoczenie teatralne, jakim stał się i Żeromski, i Schiller. Dwie propozycje, które należą — wydawać by się mogło — do kanonu szkolnego, a

reotypowo manierycznych aktorów...

Lektura Schillera była widać nieuważna, a dotychczasowe doświadczenia teatralne z tym autorem chyba nie najlepsze, skoro wystarczyło jedno przedstawienie, aby sądy te wydały się przesadami. Cywińska-Adamska zlikwidowała koturnową deklamację, pocięła tekst (jak trafne jest to opracowanie!); w kronice wydarzeń na dworze hiszpańskim, dworze ginącego mocarstwa, którym rządzą głupi dworacy, intrygujący cynicznie politycy i bezwolny król, z pozoru tylko możliwy jedynowładca — w tej kronice Schillerowskiej zobaczyła model pokazywany zdegenerowanej społeczności, ukazujący działanie mechanizmu intryg, które niczem poza próżnością własną intrygantów nie służą, które sięją wokół spustoszenie moralne, niszczą ideały, ludzi i uczucia, zmuszają — co najgorsze — by nawet porywy szlachetności obierały sobie intrygę za broń jedynie skuteczną. I wreszcie — pokazała na scenie nie bohaterów, ale ludzi. Żywych, ściszonych, chciałoby się bez mała powiedzieć — współ-